

Krzysztof Bielecki

Zsunęła się z krzesła
Ciennik

Państwowy Instytut Wydawniczy
Warszawa 2023

Cień pierwszy

Jedenaste: nie bądź!

Stała w blasku. Cała ze szkła. Sen i sens. Wyglądała jak góra lodowa. Swoją tanię zaczęła pod kapliczką. Na rogu Konopnickiej i Orzeszkowej. Cofała wolno. To jakieś sto metrów do bramy, w którą będzie próbowała się wcisnąć. Musiała uważać, bo była krucha. Trwało to dłużej, niżby się chciało. Przyszła noc. Koniec kwietnia nie oczekuje od nocy niczego wielkiego. Może być krótka i nad ranem chłodna. Ciężarówka łamała się niezgrabnie między ciągnikiem a naczepą. Była obca. Na jej zmagania ze słupkami bramy patrzyłem bez fascynacji. A przecież mogłem trzymać za nią kciuki. Z przyczyn osobistych. Mogłem chcieć, by słupki bramy się rozstały i wpuściły ciężarówkę za pierwszym, a nie – jak uczyniły – za siódmym razem. Przymierzanie się ciężarówce jest niesprawiedliwe. Za dużej na małą bramę. Mocowanie się wielkości z małością może śmieszyć, zasmucać i trwożyć. Siedemdziesiąt siedem razy wrócimy tu do śmiechu, smutku i trwogi.

Ciężarówka miała dwanaście kół. Jedno z nich było większe od pozostałych i przejechało srebrnego żuka. Przejechało, ale nie zabiło. Żuk się zagapił, wracał na podwórko z dalekiego spaceru po Hoffmanowej. Nie był w parku, zrezygnował, miał dziwne przeczucia. Nie widział ani dwóch mniejszych kół poprzedzających to większe, ani samego większego, morderczego. Większe koło zamierzało rozłupać mu pancerz, ale żuk w ostatniej chwili zdążył się wśliznąć między dwie kostki bruku. Mnóstwo się dzieje w ostatniej chwili.

Taflę naczepy połyskiwały jak taflę lodu albo łuski ryby. Szklany kierowca uwijał się w świetlistej kabinie. Na jego twarzy malowało się szczęście – jeździć tak od nieszczęścia do nieszczęścia to

szczęście. Lśniąca brokatem pilotka i kwadratowe okulary zastanawiały. Skąd był? W istocie, w istocie świata, pochodzenie nie gra roli i żuk niczym się nie różni od ciężarówki, kierowcy czy słonia. Wszystko podobnie żyje, starzeje się i ginie. Szklili się kontur ciężarówki, kontur kierowcy, kontur pilotki, kontur okularów. Linie, które wyostrzała ciemność, klóciły się z plamą nocy. Z rozrzedzeniem życia. Gdzie świat, człowiek i żuk to jedno i to samo. Przyznaję: lubię doszukiwać się w tym zagrożeń i upadków.

Nie przypuszczałem, że umrę. I to za życia. Że odsunę się na odległość dostatecznie dużą, by nie czuć sekund ani miejsc. Zobojętnienie na czas i przestrzeń posuwało się wolno. Przypominało surrealne cofanie się szklanej ciężarówki do bramy, tej sto metrów od kapliczki. Ale dobrze – odsunąłem się na dostateczną odległość. To mogło być równie daleko jak wtedy. Wtedy, kiedy miałem szesnaście lat i z czternastoletnim Michałem Stasinowskim, kolegą z dzieciństwa, wybraliśmy się rowerami do Krośniewic. Z Kutna do Krośniewic jest czternaście kilometrów. Naprawdę. To tylko zbieg okoliczności, że Michał miał czternaście lat, a z Kutna do Krośniewic jest czternaście kilometrów. Ja bym sobie nawet nie życzył tego zbiegu okoliczności; literatura powinna unikać zbiegów okoliczności. Stało się jednak, jak się stało, i liczba czternaście prześladowała tamten letni dzień. Michał powiedział, że chciałby odwiedzić babcię, bo jest stara i kiedy indziej mógłby nie zdążyć. Były to pierwsze kroki w drodze do. Pamiętam skromny domek gdzieś w bok od drogi na Poznań, chyba z maleńkim jak pięć minut ogródkiem, i tę staruszkę wciśniętą w fotel w kącie pokoju. Patrzyła. Wtedy nie było telefonów i powiadomień w rodzaju „Babciu, zajrzę do ciebie za dwie godziny, z kolegą będę”. Nie, były inne możliwości. Możliwości

zaskakiwania. Zaskakiwania ludzi, zwierząt, świata. Michał widocznie lubił babcię, skoro zdecydowaliśmy się na tak daleką wyprawę rowerami. Mogło tak się zdawać, bo po drodze był wiadukt i mozolny wjazd pod górkę. Powietrze było suche. Wiatr przemykał przez pola wokół. Samochody szumiały i przynosiły zbawienny powiew. Z górki na wiadukcie widziało się więcej, lecz nie było czasu na przystawanie i rozglądanie się dokoła, liczenie drzew, obłoków. Wtedy się myślało, że to, czego nie zobaczy się dziś, zobaczy się jutro. A to nieprawda. Wszystko, co miniesz, miniesz bezpowrotnie. Babcia Michała miała na sobie zgniłozielony sweter. Wtedy nie rozumiałem koloru zgniłozielonego. Nigdy wcześniej i nigdy potem jej nie widziałem. Mnóstwa ludzi nigdy wcześniej i nigdy potem się nie widzi. Są bezpowrotni. Widzenie jest czynnością jednorazową.

W końcu lata 2018 roku pojedę do Krośniewic po kamień na grób mamy. Po skałę. Ostały się pola, wiadukt, wiatr, drzewa, smutek. Ziemia przynosi smutek. Z wiaduktu, pędząc samochodem, widziałem umykający horyzont. Gasły sady. Dojrzywał pochylony kres. Kamieniarz zachowywał pogodę ducha. Wymyślanie grobu nie jest nieszczęściem. Uprawianie formy, gładzenie mamy po włosach, zmarłej po włosach. Przesuwanie dłoni po błędzących liniach kamienia, żyłastych zgrubieniach i pocienieniach, po cieniach wszelkich odejść. Słońce rozświetlało płyty kamieni, już rozłupane, przyglądzone przynajmniej z jednej strony. Stały w rzędach. Więc to jest mój dom? Chodziłem z tatą wąskimi alejkami, strużkami czasu. Chowałem ramiona, by nie dotknąć czegoś niepotrzebnie. W dzieciństwie marzy się o takich labiryntach. W pewnym momencie straciłem tatę z oczu. Kiedyś się go bałem. Kamieniarz

też poszedł w inną stronę. A ja nie chciałem zostawać sam z tymi płytami. Strasznie jest wybierać samemu kamień na grób. Łatwiej o tym pisać. Stajesz nad kamieniem i patrzysz w przyszłość. Stajesz nad słowem i patrzysz w przeszłość. Przeszłość łatwiej znieść.

Mama zsunęła się z krzesła. Z początku zdało się to tak radykalne, jak nic wcześniej i nic potem. Ale po dziesięciu dniach wydało mi się niepokojąco płynne.

By powiedzieć o tym więcej, muszę odnaleźć w sobie draństwo, które drzemie w każdym z nas. Ten chłód. To oświecenie, które odsuwa od sprawy na bezpieczną odległość. Gdzie łąza się już nie wciśnie. Łąza jest zła.

I muszę odnaleźć liche draństwo literatury: dystans. Zimne źródło. By uniknąć nieudomówień. I uwag przodowników, których matki przed nimi, alfabetycznie: Brzozowskiej, Kopańskiego, Libicha, Matyszkowicza, Michalskiego, Orła, Wiedemanna i Wójcik, „Wiesz, Krzysztof, każdemu mama zsuwa się z krzesła”. Cwani. Każdemu, nie każdemu, ale mnie najbardziej.

Tamtego dnia zsunęło się z krzesel rozstawionych na kuli ziemskiej tysiąc dziewięćdziesiąt sześć matek, z tego trzysta sześć w Chinach. To żadne pocieszenie. Nie będę się dzielił mamą z Ziemią. Lecz prawda jest taka, że zsunęło się wtedy z krzesel wiele innych mam. Nie znoszę uniwersum. Tej gwałtownej perspektywy, że obok zimy, schodzącej w kwietniu w mojej okolicy, śniegu topniejącego w mgnieniu oka, jest mnóstwo innych okolic i zim, i innych mgnień oka. A w gruncie rzeczy jedno ogromne mgnienie Oka. I w nim, w tym Oku, prócz mojej mamy, żrenicy życia, i jej krzesła, jest tysiąc dziewięćdziesiąt pięć innych mam z krzesłami. I one